

ANDRZEJ KWIATEK

Ziutek mnie oszukał

Ziutek jednak wiedział, co robi. Wrobili mnie w tę podsadzkę. Jeszcze dzień, dwa, mówili, dopóki ludzie nie wrócą. Ludzie nie wracali, my wypełniliśmy kichę, zaczęliśmy nową. Ziutek już wziął urlop, pakuje się do drogi, a ja nie wiem, co robić.

- Co się martwisz? Należy ci się tydzień, to bierz i jedziemy – powiedział.

- Ale obiecałem...

- Obiecałem, obiecałem! Oni też gadali o jednym dniu. Zobacysz, tak się skołują, że jeszcze na święta zjedziesz pod ziemię.

Rzeczywiście zanosilo się na to. Byłem wściekły i bezradny. Ziutek opowiadał, jak to fajnie będzie, kiedy zajedzie do domu; mnie ściskało w dołku, ale udawałem, że nic sobie z tego nie robię.

Ziutek: - Zapytaj, co z Zenkiem, a ja powiem: „Zjechał pod ziemię pół roku temu i nie chce wyjść. Ryje jak kret, już całkiem oślepl”.

Ja: - Wielkie rzeczy, gdybym został, mógłbym robić i w święta, zresztą wolaliby niż siedzieć w hotelu.

Ziutek: - Upadłeś na głowę.

Ja: - Nic się nie stanie, jak pojedzie w maju. Zielono będzie. Ciepło.

Ziutek: - Na „jajeczko” pójdę z chłopakami.

Ja: - Przywieź jedno.

Ziutek: - To się da zrobić. W sobotę czekaj na mnie w Gliwicach.

O, gdybym wtedy wiedział, że mnie oszuka. Za tydzień, powiedział, czekaj w Gliwicach, a Grubasowi miał przywieźć zdjęcia pornograficzne.

No, mogę już wyjść. Oglądam jeszcze zęby, poprawiam krawat i wychodzę. Pani Stasia wysunęła głowę z okienka na portierni, jakby chciała sprawdzić czy można mnie wypuścić.

- No, no. A co to za święto, panie Zenku? – usłyszałem jeszcze, zamykając drzwi.

Zawstydziłem się na myśl, że będę się gapić, gdybym przyszedł kiedyś z Janką. Pewnie przestanie mnie lubić. Portierki są zazdrosne albo zatroskane o wszystkich, jak matki. Chyba tylko Bodzio jest wyjątkiem – nie cierpią go szczerze, a na widok jego „Skarbów” trzęsą podbródkami.

Więdnące już i oklapłe kiście bzu, pokryte rdzawymi plamami, wyglądają spod liści. Liście też utraciły majową niewinność – ściemniały, stwardniały, już się nie boją nocnych przymrozków i nadchodzących letnich upałów. Chyba trochę za ciepło na krawat i gamitur. Mam wrażenie, jakbym szedł na służbowe spotkanie. Do kogo ja właściwie idę? do Janki? do Musioła? do Janki Musioła? do Musioła Janki? Idę do Musiołów na obiad. Na obiad idę do Musiołów. Do Musiołów idę na obiad!

Ziutek mnie oszukał... A jednak nie musiałem iść w święta do roboty. Nie było sensu wyjeżdżać na dwa dni, więc zostałem w hotelu. Bodzio i Włodzio wyjechali, ale Albinos został. Manius-Grubas też został. Przyszli do mnie w niedzielę, ugotowaliśmy jajka w cebulowych łupinach – „byczki”, jak mówił Grubas. Dwanaście było tych byczków. Grubas obrał sześć i ułożył z nieobranymi na półmisku. Przyniósł

w kubku trochę wody z kranu i pędzel do golenia. Zanurzył pędzel w wodzie, znak krzyża zrobił, pokropił ściany, „Zęca”, „Hold pruski”, „Antibes wieczorem”, zranione udo Wenus i na koniec – jajka na talerzu wesoło połyskujące bielą i ceglastą czerwienią. Nie byliśmy pewni czy się wygłupia, więc na wszelki wypadek miny mieliśmy poważne. Albinos napełnił kieliszki z wódką, ja pokroiłem jajko.

- No, chłopcy! – Grubas sięgnął po kieliszek i kawałek jajka.

Staliśmy wyprostowani, tworząc kolorowy wianuszek: moja ciemna czupryna i kawałek jajka w prawej ręce, przy niej kieliszek ze skrzącym się płynem w grubych paluchach Maniusia, jego pucolowate policzki i druga łapa z białą-zółtą bryłką, potem lewa ręka Albinosa z kieliszkiem, różowe ślepka pod jasnymi brwiami i znów kawałek jajeczka obok kieliszka w mojej lewej ręce.

- Alleluja! – krzyknął Grubas, ocierając usta.

- Niech wam się tutaj układa jak najlepiej – powiedział Albinos.

- I tobie – powiedziałem.

Albinos potrząsnął głową.

- Chyba już za późno.

- Daj spokój – mruknął Grubas.

- Coś ty... – mruknąłem.

Graliśmy w dumia do północy, jedliśmy byczki i opróżnialiśmy fiaszeczki, które niestrudzenie donosił Grubas, jakby miał u siebie zaczarowany kuferek. Później Albinos zasnął przy stole i wiele trudu nas kosztowało zataszczenie go pod smutną Wenus nad łóżkiem Bodzia. Skarpety wyglądające spod spodni były czyste, ale na wszelki wypadek nie zdjęliśmy mu butów.

I tyle... Aha, Manius próbował wyśpiewać długi wiersz o Lusi na melodię „Wieczorny dzwon”. „Gdzie jesteś Lu, ja jestem tu” – słuchałem z błogim uczuciem, które potęgowała myśl, że nie trzeba będzie wstawać rano.

W sobotę po szychcie pojechałem do Gliwic po Ziutka. Usiadłem na ławce peronowej i patrzyłem na tory. Gdy mrużyłem oczy, wyobrażałem sobie, że leżący tor przede mną nie jest torem i nie leży, lecz jest drabiną i stoi. Z tej strony, na dole, drabina jest mocno osadzona w ziemi i siedzę ja, czekając na Ziutka, a tam hen, wysoko, wysoko jest Łódź i Płock, i morze-niebo błękitne i bezkresne. Pomyślałem, że powiem Ziutkowi, gdy przyjedzie: „Ziutek, brachu, blisko nieba byłeś i po drabinie zszedłeś na ziemię!”

Ale Ziutek nie przyjechał. „Może przeoczyłem go w tłumie?” – pomyślałem. Rozglądając się wokół, powoli opuściłem dworzec. I wtedy ich spotkałem. Janka o głowę przewyższała ojca. Gdybyś go zobaczył idącego samotnie, lekko pochylonego, malutkiego, z wysuszoną, pociętą bruzdami twarzą, nie zwróciłbyś nawet uwagi. Już po chwili zapomniałbyś, że go widziałeś. A gdybyś zobaczył Musioła z Janką to ho, ho, pomyślałbyś: jakiś ważny gość, nie byle kto, jeśli taka dziewczyna trzyma go pod ramię! Zapomniałem języka w gębie. Udałem, że bardzo się spieszę i ani chwili nie mam do stracenia. Nawet nie zdążył mnie przedstawić. Pobiegłem, by nie

mieli wątpliwości, jak bardzo mi śpieszono. Ale obejrzałem się. I Janka się obejrzała. Dopiero za węglem przywarłem plecami do ściany, żeby ochłoniąć.

Dni mijały, a Ziutek nie wracał. Gdy pewnego dnia z haka pod sufitem zniknął drelich Ziutka, buty gumowe, onuce, kask i gdy Albinos powiedział, że mają w pokoju nowego werbusa, przestałem się łudzić, że Ziutek wróci. Oszukał mnie, zdrajca. Nie wiedziałem, co robić. „Po co wyjechał – myślałem – przecież mogą go wziąć do woja, wariat, mógłby przyjść do podsadzki, woda już się tak na głowę nie leje”.

Teraz muszę być opanowany. Matce kupię narcyze, a dziewczynom po goździku... może Jance wziąć trzy? Nie, lepiej dziewczynom po jednym i matce narcyze... albo im narcyze, a matce goździki. Do diaska, żadnych kwiatków! W końcu idę do Musioła, nie?

Wczoraj był paskudny dzień. Dwa razy powstawały zatory, zrobiliśmy niewiele, szychta się przedłużyła i jeszcze ten cholery kneflorz, który zaglądał do nas raz po raz. Wynurzał się z ciemności i jęczał:

- Co jest? Do wieczora chcecie tu zostać?

My odgarniamy kamienie, ten biadoli:

- Umówiłem się. Nie zdążę przez was. Nic się nie stanie, jak trochę kamienia zostanie na taśmie.



My mu na to:

- Odrzuć parę kamieni, to będzie przód.

Kneflorz wzruszył ramionami.

- Ja nie akordowy. Hany som zawsze forsya mało, niech zasuują. To wszystko przez nich – za bardzo się spieszyli.

Za dużo powiedział kneflorz, zupełnie niepotrzebnie. Musioł poderwał się.

- Hany sy?! Ty, gorolu, werbusie, nie robie!

Ruszył pod górę w stronę kneflorza, wyrzucając z siebie jednym tchem:

- Pieruna! Ojciec chyba sam se żebra połamał na Geheime Statspolizei, kie wy o guzikach gadali! A tu taki ciul zatracony! Jak ciepna o zol, pieruna, to ci haferflocki wyleza!

Kneflorza widocznie przestraszył roz-wścieczony Musioł, bo wziął nogi za pas. Musioł po kilku susach zrezygnował z pogoni i usiadł. My w milczeniu usunęliśmy resztę kamieni. Pod szyb na poziomie sześćset metrów szedłem z chłopakami, Musioł szedł za nami w znacznej odległości, jakby i nas miał pod dziurki w nosie. Odezwał się dopiero pod prysznicem, gdy mu namydli-

łem plecy i nadstawiłem swoje. Dookoła parskały, prychały umorusane gęby, spicniona, czarna woda spływała po brzuchach, biodrach, męskich członkach i wydawało się, że wszyscy sikają jakąś piekielną posoką, która chlupocze w trzewiach i krąży w żyłach zamiast krwi.

- Masz jutro czas? – zapytał.

- Jutro przecież niedziela – mówię.

- Przyjdź do mnie na obiad – powiedział – pogwarzymy sobie.

Odchylił głowę, podstawiając twarz pod siekający prysznic. Zrobiłem to samo, ale nie czułem szczypiącego ciepła wody, lecz jej przyjemny chłód na rozpalonych policzkach. I usłyszałem znów:

- Mam trzy córki, śwarme dziouchy, Jankę już widziałeś. Może by ci która wpadła w oko... ale ty, pierunie, hany-ski byś nie chioł, co?

- Co pan mówi, dlaczego niby... – bąknąłem.

Musioł wyszczerzył swoje żółte zębiska i dał mi kuksańca w bok.

- Druga godzina może być?

- Może być – powiedziałem.

